

KULTURA

Newsweek

TWARZE ADAMA WORONOWICZA

PODWÓJNOŚĆ

Był taki moment, że w rodzinnym Białymstoku wstydził się, że jest nikomu nieznanym aktorem – **dziś Adam Woronowicz jest rozchwytywany przez reżyserów.**

Z powodzeniem gra i świętych, i bandytów

TEKST JACEK TOMCZUK ZDJĘCIE FILIP ĆWIK

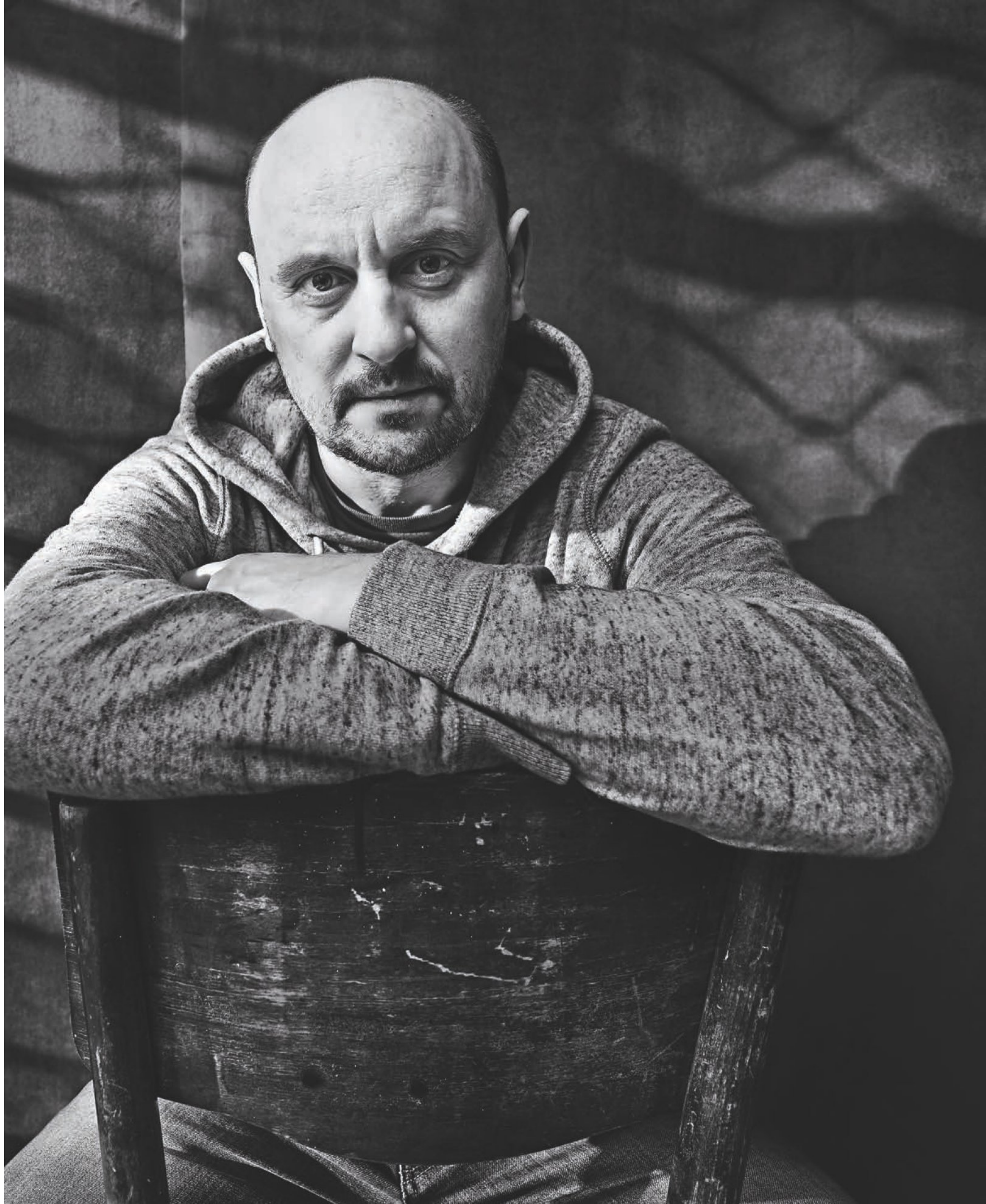
Ja, chłopak z robotniczo-chłopskiej rodziny, wychowany w blokach, mam zagrać pruskiego hrabiego, właściciela zamku na Kaszubach? – zastanawiał się Adam Woronowicz, kiedy odebrał telefon od Filipa Bajona. Miał zagrać w jego „Kamerdynerze” hrabiego Hermanna von Kraussa. – Na dodatek on je-

baka, a ja z tą samą żoną całe życie.

Wspomina, że pierwsze dni na planie były trudne. Nie mógł wejść w rolę. Po scenie balu arystokratów zszedł do kuchni w piwnicach pałacu w Łężanach koło Olsztyna, gdzie kręcono film, i rzucił się na bigos.

– Byłem ubrany w smoking, ale żeby zjeść swobodnie bigos, podczepiałem sztuczny zarost. Nagle wszedł Filip Bajon i krzyknął: „Robimy taką scenę. Von Krauss po balu dojada resztki w kuchni, sam”. Wtedy zobaczyłem, że mogę wziąć do tej roli coś z siebie, że ten Krauss czegoś się boi, ma kompleksy, tak jak ja Adam Woronowicz. Dużo mnie to kosztowało, nie wiem, czy nie najwięcej w mojej karierze – opowiada aktor.

Za rolę hrabiego von Kraussa dostał nagrodę za najlepszą rolę główną na ostatnim Festiwalu Filmów Polskich w Gdyni.



BRYNDZA

ROZMAWIAMY W KNAJPIE OBOK TR WARSZAWA. W bejsbolówce i bluzie Woronowicz nie wygląda na jednego z najbardziej rozchwytywanych polskich aktorów. W kinach można go zobaczyć w „Kamerdynerze” i „7 uczuciach” Marka Koterskiego, w telewizji w „Nielegalnych” i „Diagnozie”. Właśnie wrócił z planu „Kurier” Władysława Pasikowskiego.

Do TR trafił po szkole teatralnej w 1997 r. i tam zaliczył swój największy teatralny dół. – Grałem największe ogony. Trzy lata po szkole była taka bieda, że można zdechnąć. Totalna bryndza. Wtedy pomyślałem: Ale się wpieprzyłem, co to ma być? – wspomina.

W filmach dostawał epizody: lokaja, policjanta, lekarza, fryzjera... Kiedy pojechał na wesele do rodzinnego Białegostoku, na pytanie, czym się zajmuje, odpowiedział, że jest nauczycielem języka polskiego.

– Wstydziłem się powiedzieć, że jestem aktorem, bo dla ludzi aktor to osoba, która występowała w serialach, filmach. Nie miałem siły tłumaczyć, że gram w teatrze – opowiada.

Po trzech latach odszedł do Teatru Powszechnego. Odżył. W zespole byli: Krystyna Janda, Zbigniew Zapasiewicz, Władysław Kowalski, Franciszek Pieczka... Zaczął podglądać najlepszych. Wchodził na balkon i uczył się, jak Janda w „Shirley Valentine” sama na scenie potrafi skupić uwagę 400 osób. Władysław Kowalski powtarzał mu, że aktor zanim wyjdzie z kulis, musi znać nie tylko tekst, ale też musi wiedzieć, co chce powiedzieć.

” JAK ZACZYNAŁ MÓWIĆ WIERSZ, TO POJAWIAŁA SIĘ METAFIZYKA, WCHODZIŁ W REJONY NAJWYŻSZE

– WSPOMINA WORONOWICZA JAKO STUDENTA
REŻYSER PIOTR CIEPLAK

CWANIACTWO

– TAM NAUCZYŁEM SIĘ AKTORSKIEJ BEZCZELNOŚCI, ŻE WYCHODZĄC NA SCENĘ, MOGĘ PO PROSTU BYĆ. Nie muszę od razu czarować publiczności, zagadywać jej – wspomina. – Nauczyłem się teatralnego cwaniactwa, bo przecież w zespole było mnóstwo gwiazd, każda chciała błyszczeć. Musiałem się nauczyć, jak w przedstawieniu zaznaczyć swoją obecność, przepchnąć się, nie dać się zdominować. Wielkie tuzy potrafiły momentalnie wyczuć słabość i „zjeść” młodego aktora.

Ale poczuł też smak partnerstwa. Podczas jednej z prób „Króla Leara” w reżyserii Piotra Cieplaka wielki Zbigniew Zapasiewicz zaczął na poważnie grać ze swoim byłym studentem z Akademii Teatralnej.

– Potraktował mnie jak partnera, a nie kolesia, który podrzuca mu tekst. Poczułem, że robi się poważnie – mówi Woronowicz.

Razem grali w ostatnim spektaklu Zapasiewicza, „Słonecznych chłopcach”. – Pamiętam wieczory, kiedy grał perfekcyjnie, ale też takie, kiedy był zmęczonym człowiekiem. I to było wzruszające – zobaczyć, że nawet genialni aktorzy mają słabsze dni.

– Z Zapasiewiczem łączyło go coś więcej niż relacja uczeń – mistrz – wspomina Jacek Braciak, wówczas aktor Powszechnego. – Adam jako jeden z nielicznych mógł sobie pozwolić na żarty z pana Zbigniewa w jego obecności. To było wielkie wyróżnienie.

W „Biesach” Woronowicz jako młody Wierchowienieński miał zastrzelić Szatowa, właśnie Jacka Braciaka.

– Zdarzało się, że pistolet, jakiś taki kapiszonowiec, nie wypalał – pamięta Braciak. – Adam mnie tłukł tym pistoletem w głowę, aż wreszcie mnie uśmiercał. Pamiętam, że trudno mi było wytrzymać te jego smagania (*śmiech*).

Grał dużo, po 20–30 spektakli miesięcznie. – Miałem taki głód sceny, że prawie nie wychodziłem z teatru. Stał się całym moim życiem. Kiedy żona i córka chciały mnie zobaczyć, musiały przyjeżdżać do teatru.

Do TR Warszawa wrócił w 2009 r.

– To był już inny człowiek. Biła z niego ogromna pewność – wspomina Grzegorz Jarzyna, dyrektor teatru. – Nie ma w nim żadnej kalkulacji. Jak wchodzi w projekt, to bierze za niego odpowiedzialność. Gdy coś nie idzie, pojawia się kryzys, to nie zwala na innych, tylko mówi: bierzemy się do roboty. A wszystko z poczuciem humoru. Jest jak lokomotywa, potrafi pociągnąć za sobą zespół.

METAFIZYKA

– WARUNKI FIZYCZNE MIAŁ RACZEJ SŁABE. Chudy tak, że widać było każdą kość i żyłę, rzadkie, długie włosy, głos wcale nieimponujący. Oczy zapadnięte – wspomina kolegę z roku Marcin Dorociński. Razem rozpoczęli naukę w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w 1993 r. – Ale siedziała w nim taka petarda energii, że nie było wątpliwości, że będzie z niego aktor.

Reżysera Piotra Cieplaka zachwycił, bo był inny od reszty studentów. – Oni już rośli w piórka, coś tam udawali przed sobą. A on był w najlepszym znaczeniu tego słowa cudownym prostaczkiem: świeży, nie dotknął go blichtr tego zawodu, jakieś chore ambicje – wspomina Cieplak, który stał się dla Woronowicza mentorem. – Patrząc na jego fizyczność, nie dałoby się grozić za niego, ale miał jakiś ogień w sobie. Jak zaczynał mówić wiersz, to pojawiała się metafizyka, wchodził w rejony najwyższe. Wiedziałem, że ten facet ma duszę.

Dorociński, który mieszkał z nim w pokoju, wspomina, że Woronowicz to wulkan energii, nieustanny żartowniś. Ale przychodził wieczorem czas, kiedy szedł do swego łóżka, czytał Biblię, modlił się.

– Ale robił to bez żadnej ostentacji. To nam było głupio, wychodziliśmy z kolegami na chwilę, żeby mu nie przeszkadzać. A potem wracał do nas i dalej tryskał humorem – dodaje Dorociński.



– Od początku wyróżniał się na swoim roku – mówi Tomasz Plata, wtedy kolega Woronowicza z pokoju, dzisiaj dziekan Wydziału Wiedzy o Teatrze na Akademii Teatralnej. – Trochę zaskakiwała nas jego religijność. To nie była wtedy powszechna postawa wśród aktorów. Ale Adam potrafił pozostać sobą. Poza tym był dyskretny. Nie próbował nas ewangelizować.

– Tomek był absolutnym ateistą i wybitnie inteligentnym gościem – wspomina Woronowicz. – Zaczął mi zadawać najprostsze pytania: po co mi Bóg, dlaczego wierzę? Czy serio biorę tę książkę, a miał na myśli Biblię. Ja, wychowany w tym ludowym, białostockim katolicyzmie, musiałem nagle się bronić, tłumaczyć, a tak naprawdę wiele spraw sobie w głowie uporządkować.

KLASZTOR

DZIEŃ ZACZYNAŁ MSZĄ ŚWIĘTĄ U KAPUCYNÓW NA UL. MIODOWEJ, potem szedł do Pałacu Arcybiskupów, pracowała tam jego ciocia zakonnica, robiła mu kanapki. Przechodził na drugą stronę ulicy i był w szkole teatralnej. Woronowicz wspominał po latach, że koledzy potrafili mu dociąć, kiedy ciocia w habicie przychodziła do szkoły w odwiedziny, mówili: „Woron, dziewczyna do ciebie przyszła”.

Po trzech latach zakonnicy z klasztoru Kapucynów zaproponowali mu pokój. – Miałem swoją celę, za klauzurą, wszystkie klucze, pełne zaufanie. Kapitalny okres – mówi. Wtedy nie był przekonany, czy chce być aktorem, czy zakonnikiem. – Miałem ogromne dylematy, mama z ciocią przygotowały już całą wyprawkę. To byłoby zresztą zgodne z moimi wcześniejszymi planami, bo nie chciałem tego zawodu uprawiać.

W 1997 r. pojechał na Światowe Dni Młodzieży do Paryża i usłyszał Jana Pawła II mówiącego, by iść w głąb, do swoich śro-

dowisk. Nie po to, by nawracać, ale żeby być znakiem. Pomyślał wtedy: „Kurczę, może nie trzeba wymiękać, tylko iść pod prąd?”. Został przy aktorstwie.

POPIEŁUSZKO

– JASNE, ŻE BAŁEM SIĘ TEJ ROLI, PRAWIE WSZYSCY MÓWILI, ŻE TO BĘDZIE SZUFLADA, Z KTÓREJ NIE WYJDĘ PRZEZ LATA – mówi dzisiaj Woronowicz o głównej roli w filmie „Popiełuszko”. – Ale ja nie miałem na co czekać.

Miał 35 lat, pozycję solidnego aktora teatralnego, ale w filmie był kompletnie niewykorzystany. Nie dorobił się ani sławy, ani pieniędzy. Namawiał go tylko Marcin Dorociński. – Tłumaczyłem, że każdy inny aktor będzie musiał miesiącami chodzić do kościoła, żeby podejrzeć ruchy księdza, poznać modlitwy, obyczaje... Adam miał to we krwi. To była rola dla niego.

Dzisiaj Woronowicz śmieje się, że przy podejmowaniu decyzji pomogło to, że reżyser Rafał Wierzyński był jego ziomkiem z Białostocczyzny.

– Wiem, że ekipa chciała do głównej roli kogoś bardziej rozpoznawalnego, ale nikt taki się nie zgłosił – wspomina aktor. – Chyba tego samego dnia, kiedy ogłoszono, że będę grał Popiełuszkę, dostałem od Andrzeja Wajdy propozycję zagrania w „Katyniu”. Kogo? Kapelana wojskowego. Pomyślałem, że szuflada z rolami księży już na mnie czekała.

Czytał kazania kapelana Solidarności, spotykał się z ludźmi, którzy go znali, był w jego mieszkaniu na osiedlu Za Żelazną Bramą. Tuż przed premierą zobaczył na hotelu Metropol w Warszawie swoją twarz w formacie 8 na 20 metrów. Poczuł, że żarty się skończyły, już nic nie będzie takie, jak było. Ludzie rozpoznawali go na ulicy, prosili o błogosławieństwo, ale długo żaden z reżyserów nie dzwonił z propozycją.

– Byłem na to przygotowany. Kto chce mieć Popiełuszkę w swoim filmie?

Jako pierwszy zadzwonił debutant Borys Lankosz z propozycją roli pana Józefa, rzekomo niepijącego księgowego, który stara się o względy panny Sabiny. Podczas zapoznawczej kolacji stacza się pod stół po zbyt sumiennej degustacji domowej nalewki.

– Adam wiedział, że potrzebuje takiej roli na przełamanie, że nie może utknąć w Popiełuszcze – wspomina reżyser „Rewersu”. – Jest takie powiedzenie, że jak jest zabawa na planie, to nie ma jej w kinie. A na planie Adam proponował coraz to inne rozwiązania, tak śmieszne, że spadaliśmy z krzeseł. Widać było, że go rozsadza energia, ma głód grania. Trudno było utrzymać na planie powagę. Trochę byłem na niego zły, że tak się zgrywa, ale w pewnym momencie odpuściłem, to było silniejsze od niego, a on silniejszy od całej ekipy.

Marcin Dorociński: – Może dlatego rola Popiełuszki na długo nie przykleiła się do niego, bo zagrał ją bardzo prawdziwie. Nie musiał niczego udawać, tam nie było przerysowania.

Inaczej widzi to Borys Lankosz: – Adam debiutował w czasach, kiedy polskie kino było w zapaści, kręcono niewiele, a superprodukcje należały do Michała Żebrowskiego czy Piotra Adamczyka, którzy spychali innych młodych aktorów w cień. Ale dzięki temu Woronowicz miał czas, żeby dojrzeć, uformować się jako aktor, człowiek. Przecież nawet aktorom uroda amantów przemija, a zostają umiejętności. Dzisiaj widać, kto został z tamtego pokolenia.

– Nie robił niczego na skróty – mówi Michał Walczak, który reżyserował Woronowicza w komediowym spektaklu „Depresja komika”. – Przeszedł drogę od kółka teatralnego w Białymstoku przez kolejne teatry, serial, telewizję, kino. Jest niesamowicie rzetelny i pracowity, co w czasach celebryctwa ma szczególną wartość.

GUMA

– MYŚLĘ, ŻE JEST NAJWYBITNIEJSZYM AKTOREM SWOJEGO POKOLENIA. W dodatku aktorem wciąż do odkrycia. Na razie gra albo świętych, albo bardzo mroczne charaktery. Tymczasem Adam ma potężny talent komediowy – mówi Tomasz Plata.

Reżyser Robert Gliński, który pracował z Woronowiczem w Teatrze Powszechnym, mówi, że to aktor guma. – Jest tak elastyczny, że potrafi zagrać słoik, ptaka, a nawet raketę. Jest niezwykle wdzięcznym materiałem dla reżysera.

W „Chrzcie” Marcina Wrony zagrał szefa gangu, w „Miłości” Sławomira Fabickiego – prezydenta miasta, który gwałci swoją pracownicę, w „7 uczuciach” – ojca, który zakopuje żywego szczeniaka.

– Dobrze mi wychodzi granie drani, robię to bez zbędnych emocji – śmieje się Woronowicz.

Kiedy na planie „Pitbulla” jako mafioso dusił niewinną starszuskę, Władysław Pasikowski nie mógł się powstrzymać od komentarza:

– Wygląda pan na tak zadowolonego, że mógłby pan grać codziennie takie sceny, nieprawdaż?

Woronowicz co rusz wraca w czasie naszej rozmowy do dzieciństwa w Białymstoku.

– Pamiętam na rogach wsi dwa krzyże, katolicki i ruski. Przed jednym się żegnało, a przed drugim po prostu się przechodziło, chociaż na nim też wisiał Jezus. Jednych nazywano Polakami, drugich Ruskimi. Chłopacy na naszym podwórku byli świetnymi przyjaciółmi, a szli pod inne bloki i tam potrafili być okrutni wobec innych dzieci. Kadzidła i piękne śpiewy w kościele, ale też w moim bloku tyle agresji, że regularnie przyjeżdżała milicja. Wychowałem się w podwójności. Czy to nie istota aktorstwa? Może dlatego mogę zagrać i księdza, i bandytę.



DOBRZE MI WYCHODZI GRANIE DRANI, ROBIĘ TO BEZ ZBĘDNYCH EMOCJI

ADAM WORONOWICZ

WSCHÓD

AKTOR OPOWIADA, JAK W LATACH 80. MATKA WOZIŁA GO DO SZEPTUCHY W ORLI, bo nie chciał jeść; o magii prawosławnych świąt, napięciu między prawosławnymi a katolikami. Wspomina, że w liceum miał wśród kolegów i Tatarów, i prawosławnych. Kiedyś odwiedził jednego z nich w domu i zobaczył na ścianie ikony oraz portret cara Mikołaja II i jego całej rozstrzelanej rodziny.

– Ktoś w Polsce wiesza na ścianie portret naszego zaborcy, potwora, i mówi mi, że on zostanie beatyfikowany jako męczennik? Myślałem, że śnię – wspomina. – A oni mówili o mnie ironicznie, że jestem piłsudczykiem. Wszyscy razem musieliśmy się nauczyć ze sobą żyć.

– Adam to człowiek Wschodu, widać, że wychował się w mieszaneczce narodowościowej, gdzie trzeba znaleźć miejsce dla siebie i szacunek dla innych – mówi Grzegorz Jarzyna. – Poza tym Adam czuje, co to metafizyka. Nie trzeba mu tego tłumaczyć, kiedy pracujemy i pojawia się taki temat, widzę w jego oczach, że wie, o czym mowa, że to jego doświadczenie.

Na koniec pytam, co aktorowi, który odniósł sukces, pozwala twardo stąpać po ziemi.

– Dystans i poczucie humoru na swój temat – mówi. – Ja lubię aktorstwo, ale to nie jest tak, że to sprawa życia i śmierci. Dobrze się czuję, kiedy wracam do domu i przecieka kran, nie działa pralka, trzeba zająć się życiem. Wtedy przestaję być aktorem. **N**

jacek.tomczuk@newsweek.pl

WSPÓŁPRACA KOSMA CELMER